

Jeszcze pół roku temu przechodził autentyczne załamanie nerwowe po tym wszystkim, co się stało. Najgorsze było, że dusił to w sobie, bo po wpadce z kaleką w ogóle w Pabianicach nie bywał, wolał nie kusić licha. Nie oznaczało to wcale, że w Warszawie czuł się swobodnie – początkowy okres był ciężki. Najgorszy był kwiecień, nie lepszy maj. Miewał wtedy ze sobą kłopoty. Stany lękowe nasilały się do tego stopnia, że nie był w stanie chodzić do pracy, bał się wyjść z domu. Tyl- ko dzięki Beacie odbił się od dna. Naturalnie, nie wspomniał jej ani słowem o powodach swojej nerwicy. Utrzymywał, że wypaliła go praca w korporacji, francuskiej sieciówce Guy & Chardon. Po licznych naradach, koncyliacyjnie, za porozumieniem stron opuścił przyjazne skądinąd progi Guya, rozwiązał umowę pod koniec czerwca i wreszcie był na swoim. Kariera – własna praktyka prawnicza – nabierała rozpędu dzięki intensywnemu pijarowi i ekspertyzom dla PN-u, załatwianym przez Beatrix. Kokosów jeszcze nie zarabiał, ale mógł się utrzymać, a przy poselskiej diecie Beatki nie miał prawie żadnych kosztów własnych. W życiu nie podejrzewał, że związek z kobietą o piętnaście lat starszą może mieć rację bytu, jednak im większego doświadczenia nabierał, im bardziej dochodził do rozumu, tym wyżej oceniał walory takiej relacji. Interesującym było, że inni mężczyźni w jego wieku (Kwaśniak miał trzydzieści dwa lata) kompletnie nie rozumieli, czym się je życie. On wierzył, że posiadał doświadczenie i spryt mężczyzny sześć- dziesięcioletniego, będąc u szczytu sił psychofizycznych. W przeciwieństwie do rówieśników cenił macierzyńską opiekuńczość dojrzałszej kobiety, jej koneksje, mądrość. Nie chciała od niego małżeństwa i dzieci, wystarczyło, żeby z nią był. Doszedł do wniosku, że było to najszcześniejsze rozwiązanie z możliwych. Najpierw się dorobić, a potem się zobaczy. Do takiej wiedzy mężczyźni dochodzili dopiero w średnim wieku, kiedy życie dało im w kość, a egoizm święcił triumfy nad idealizmem młodości. On był jednym z nielicznych, wy- branych, którzy postanowili jednak uczyć się od starszyny, a nie gardzić jej radami. Niby każdy to wiedział, ale nikt tak nie postępował, nikt oprócz niego. Litował się nad naiwnością rówieśników harujących jak woły, ale niezdolnych do tego, by się wybić, bo objuczonych bagażem zobowiązań. On dojdzie do tego samego, ale na skróty. Od eksperta prawnego do polityka wcale nie jest tak daleko, są różne struktury, które stają otworem, ale najpierw trzeba się odkuć finansowo, w coś się wkręcić, tylko pomału, spokojnie, bez paniki. Beata nie pozwoli, aby minęła go lukratywna okazja, są w idealnej symbiozie, a brak środków byłby czynnikiem zakłócającym ich harmonię. Mąż Beatrix, stary ramol, zdaje się, jakiś aktorzyzna ze spa- lonego teatru jest kompletnie od niej uzależniony i nawet nie miauknie, jak Beata znika na kilka nocy pod rząd. Ma na głowie opiekę nad dziećmi, więc nie waży się zburzyć tego układu. A i Beacie nie zależy na zmianach, za bardzo ceni sobie rodzinę, by miała zakusy na coś więcej niż regularny romans. Wilk więc syty i owca cała. Zaparkował pod sklepem z winami. Ekspedientka rozpoznała go; był tam stałym bywalcem, w pełni świadomie wkalkulował to w ogólny plan. Prawnik i polityk,

a do tego koneser win. Zaopatrzony, pojechał z powrotem ulicą Jana Pawła w stronę hotelu. Zazwyczaj zostawiał samochód w podziemnym parkingu, w budynku sąsiadującym z Westinem. Płacił taniej i miał mniejszą szansę napatoczenia się na kogokolwiek. Choć i to było dmuchaniem na zimne, gdyż nigdy nie wchodzili razem do hotelu, a do niedawna brali osobne pokoje. Dopiero ostatnio, gdy ich związek okrzepł, zwracali na to mniejszą uwagę. Skręcił w Ciepłą i ostrożnie zjechał w dół do skąpo oświetlonego parkingu. Na pierwszym poziomie stało kilka samochodów. Nie wiedzieć czemu, chwilę się zawahał. Zdawało mu się, że usłyszał za sobą odgłos, jakby ktoś najechał na ogranicznik ruchu. Ściszył muzykę, przyhamował, auto ledwo się toczyło. Musiało mu się jednak tylko zdawać, uznał w duchu, bo oprócz cichej pracy silnika niczego nie słyszał. W garażu nie było żywej duszy.

Skąd więc to uczucie, że ktoś mu się przygląda? Wyłączył radio, zatrzymał wóz i czujnie wodził oczami od jednego wstecznego lusterka do drugiego. Był w połowie drogi do zjazdu na niższy poziom. We wstecznym widział kilka aut, w tym wielkiego czarnego SUV-a. Czy to w nim dostrzegł jakiś ruch? Skupił wzrok na lusterku i zastygł, by w razie gdyby faktycznie ktoś go obserwował, nie odgadł, że Kwaśniak się zorientował. Siedział bez ruchu dłuższą chwilę, wsłuchując się w przyspieszone bicie własnego serca. Wyglądało na to, że auta były puste. Pewnie kątem oka zobaczył mijany słup, stąd wrażenie ruchu. Inna sprawa, że był przemęczony, podenerwowany występem w telewizji, no i wciąż spodziewał się... Czego, do jasnej cholery? Przecież dotrzymał umowy, a to, co się stało, nijak nie mogło wpłynąć na majątek, sytuację finansową czy bezpieczeństwo pana Wędzichy. Zresztą, nie będzie roztrząsał tej sprawy w ciemnym garażu. Gdyby mieli jakieś wątpliwości, zgłosiliby się do niego pół roku temu. Już oni by go znaleźli, nie darowaliby. Dobraliby się do niego, jak dobrali się do tamtych...

Gwałtownie wcisnął pedał gazu i zjechał na poziom minus dwa. Było tam jaśniej, parkowało mniej aut. Faktycznie, prawie nikogo. Jeden rzęch i pełen ogląd sytuacji. Stał jak najbliżej wyjścia, by mieć tylko dwa susy do drzwi prowadzących na klatkę schodową. Wysiadł i znów ogarnęło go dziwne, mrozące krew w żyłach uczucie paniki. Poczucie, że nie jest tu sam. Spokojnie, tylko spokojnie, to kolejne złudzenie, efekt spiętrzenia stresów, przecież lekarz mu tłumaczył... Dwa szybkie baczne spojrzenia – najpierw na lewo, potem na prawo. Wokół smętnie, ponuro, widmowo; trupie światła przecinające ciemność. Nikogo poza nim samym. Chyba że ktoś schował się za betonowymi słupami... Szaleństwo. Uśmiechnął się pod nosem i energicznie, zdecydowanie otworzył bagażnik, ćwierknięcie zamka automatycznego odbiło się echem w pustej przestrzeni. Zagłębił się w poszukiwaniu toreb z winem i aktówki. Musi naprawić żarówkę, przepaliła się i nic w tym cholernym bagażniku nie wi... Zimny dreszcz przebiegł mu po całym ciele. Czy mu się zdawało? Czy to był szelest kurtki ocierającej się o betonowy słup?

Odwracał się z wysiłkiem, pomału. Pragnął odetchnąć z ulgą, pomyśleć, że znów to tylko wytwór rozpalonej wyobraźni, że to jego płaszcz zaszeleścił, gdy nagle usłyszał tupot. Jak fryga okręcił się na pięcie w porę, by dostrzec dwóch wielkich biegnących ku niemu mężczyzn, będących już o krok.

Okrzyk strachu uwiązał mu w gardle, zamiast tego wydobył z siebie tylko cichy jęk. Nie zdołał nawet podnieść rąk. Mentalnie zarzucili mu coś włochatego na głowę, a następnie poczuł potężny cios w żołądek. Szarpanina, przekleństwa, wrażenie braku powietrza. Zaduszają go! Coś płynęło mu w dół spodni, uczeplił się ramienia jednego z mężczyzn, słyszał swoje błagania, ale zdawało mu się, że ktoś inny je wypowiada. Ten dochodzący nie wiadomo skąd głos urwał się z nienacką, wraz z potężnym ciosem w tył głowy, zadany czymś choler- nie ciężkim a zaskakująco miękkim.

Kwaśniak ocknął się w poruszającej się ciemności. Nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło. Szarpało nim na lewo i prawo, silnik warczał, koła co i raz napotykały koleiny, dziury, przy każdym przeciążeniu w lewo głowa uderzała w coś metalowego, kanciastego. Był w bagażniku. Chciał się rozejrzeć, ale przed oczami widział tylko czerń. Usta miał zakneblowane, na szyi pętlę, głowę obwiązaną workiem.

Ludzie Wędzichy wieźli go do lasu, żeby zabić? Brakowało mu powietrza, usiłował wypluć gałgan, wzmogło się wrażenie duszenia. Szarpał się nerwowo, łapiąc tlen nosem niczym pies idący za górnym wiatrem, potem zawirowało mu w głowie, pochłonęła go ciemność. Odpłynął.

Gdy znów się ocknął, był na zewnątrz. Wlekli go za nogi. Szybko, brutalnie. Głowa, wciąż owinięta w wór zapętlony przy szyi, co i raz podskakiwała mu na nierównościach terenu, płaszcz, a także marynarka, zadarły się do góry i gołymi plecami sunął po ziemi. Zdawało mu się, że oprawców było kilku, słyszał szelest ich buciorów brodzących w opadłych liściach. Przystanęli, nerwowo konferując – uzgadniali coś przytłumionymi głosami. Padła jakaś komenda, wtedy znów ruszyli naprzód. Wlekli go jakiś czas, nie umiał powiedzieć, jak długo. Ponownie zwolnili, stanęli. Zapadła cisza. Na coś czekali. Kwaśniak słyszał łomot krwi pulsującej mu w skroniach. Wtedy gdzieś z oddali dało się słyszeć przeciągłe wycie – trąbił nadjeżdżający pociąg. Znów rzucili się naprzód, wlokąc go, jak mu się zdawało, w tamtym kierunku. Owładnięty najgorszym przeczuciem, zaczął się szarpać, udało mu się oswobodzić jedną nogę, ale dostał takiego kopniaka w bok, że stracił dech. Pociąg przelatywał gdzieś niedaleko z ogłuszającym hukiem, musieli być bardzo blisko torowiska. Potem głucho dudnienie zaczęło się oddalać, by w końcu rozpląnąć się w dali.

– Myślałeś, że jesteś cwańszy od pana Bogdana, co?! – wykrzyknął ktoś tuż nad głową Kwaśniaka. – Chciałeś go wydymać?!

– Nie chciałem, nie chciałem, nie chciałem – bełkotał Kwaśniak w gałgan przez worek.

Znów schwycili wierzgającą już słabiej wolną nogę i ponownie powlekli go po ziemi. Mimo błagalnych lamentów o możliwość wyjaśnienia sprawy, których i

tak nie dało się zrozumieć przez zakneblowane usta, nie zareagowali, nie dali szans. Poczul na gołych plecach zimną ostrą tarkę. Żużel z torowiska. Głowa łupnęła o coś twardego, jakby metalowy próg. Pokonali szynę. Za chwilę następną i kolejną.

Wrzeszczał, wił się, ale oni nieubłaganie wlekli go głębiej na torowisko, trzymając mu nogi jakby w imadłach. Raptem znów wyczuł lekkie charakterystyczne drgania. Usłyszał brzęk, świst naprężonych metalowych linek. Nie było wątpliwości, zbliżał się kolejny pociąg, ziemia rezonowała rytmicznie, wibracje czuć było w drewnianych podkładach. Adrenalina wzmogła się tak, że nawet nie czuł bólu. Zaczął się miotać jak oszalały, nie bacząc na możliwość bycia ukaranym kopniakiem. Oprawcy chyba biegli, bo głowa Kwaśniaka jeszcze parę razy uderzyła o szynę, tyle że z dużo większą siłą. Nagle puścili go gwałtownie, ich rejteradzie towarzyszył szybko słabnący chrzęst żwiru pod buciskami.

Osamotniony, wiercił się jak opętany. Chcąc zerwać więzy, wykonał kilka nieskładnych ruchów. Okręcił się, położył na brzuchu, usiłował wstać, dłuższą chwilę nie dawał rady. Oparł się brodą o podłoże i uniósł na kolanach do pozycji pionowej. Wtedy poprzez jutowy worek dostrzegł trzy charakterystyczne światła, jedno na górze i dwa na dole, wychodzące z zakrętu, obierające kurs prosto na niego. Na oślepu rzucił się w prawo, kolanami uderzył w szynę, pokonał ją, gramoląc się niezdarnie. Potem pomyślał, że może popełniał błąd. A jeśli wcześniej nie był na torze, po którym jechał pociąg? A nuż chcieli go postraszyć, a tymczasem wskoczył na sąsiedni tor, z którego nie było ucieczki, bo dopiero teraz pociąg pędził na wprost?! Przecież nawet jeśli nie chcieli go zakatrupić, to nie zaryzykują skakania, by go uratować. Miał parę sekund do namysłu. Sytuacja ukazała mu się z jasnością, o której wcześniej tylko czytał – jasnością wobec zbliżającego się końca. Był na szerokiej magistrali; nie sposób było stwierdzić, którym torem nadjeżdżał pociąg. Przez jutę przeświecały trzy błyskawicznie rosnące oka, sunące prosto na niego. Nie był w stanie podjąć decyzji, tkwił jak struchlały zając w światłach nadciągającego z gigantyczną prędkością potwora. Oszalającym ryk zagrzmiął mu w uszach, to maszyniści go dostrzegli i trąbili, trąbili jak szaleni. Światła rosły mu w oczach. Teraz już wiedział, że odruch bohaterstwa to gówno prawda. Nie był w stanie podjąć jakiegokolwiek działania, żadnego kaskaderskiego rzutu ciałem w bok, żadnego uniku w ostatniej chwili. Czuł się słaby jak wrażliwa roślina, jak niezborny pająk gramolący się w szklanym słoiku. Zacisnął tylko powieki i zwarł każdy nerw w oczekiwaniu na nieuchronne...

Huk, łoskot i gorący podmuch rzucił go na prawo. Wściekłe dudnienie przelatywało tuż obok jego głowy. Nie wiedział już, gdzie się znajduje, na jakim jest świecie. Ponownie stracił przytomność.

Skulony i skostniały z zimna ocknął się na niewygodnym krześle. A więc żył. Nie miał pojęcia, ile czasu minęło.

Był w ciemnym pomieszczeniu, przy stole, na którym stała pusta brudna popielniczka oraz na wpół opróżniona butelka taniej wódki. Dopiero potem zobaczył zarysy sylwetek dwóch mężczyzn. Siedzieli po przeciwnej stronie stołu pod światło, więc ich twarze były słabo widoczne.

Oszołomiony, mrugając w ostrym świetle lampy skierowanej prosto w twarz, rozglądał się wokoło. Dostrzegał coraz więcej szczegółów, pomału wracała skołatana świadomość. Chyba byli w piwnicy, w kotłowni. W ciemnościach rysowała się plątanina rur, zawory, bojler.

Tamci przyglądali mu się bez słowa. Gdy oczy nieco oswoiły się z jaskrawym światłem, zdołał zauważyć, że jeden z mężczyzn był starszy, może koło sześćdziesiątki, drugi młodszy, miał nie więcej niż dwadzieścia lat. Starszy – suchy, kostyczny, żyłasty – zdawał się spięty, w pełnej gotowości do działania. Młodszy – bardziej odprężony, rozparty na krześle

– na wpół leżał z szeroko rozłożonymi nożyskami. Widząc, że Kwaśniak wraca do siebie, połał mu wódki.

– Pij. Trzęsiesz się jak galareta.